

Wojna na
Pięknym Brzegu

Andrzej Marek

Grabowski

ilustracje Joanna Rusinek

Andrzej Marek Grabowski
Wojna na Pięknym Brzegu

© by Andrzej Marek Grabowski
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje:
Joanna Rusinek

Redakcja i korekta:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie II

ISBN 978-83-7672-281-8

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2016
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630 23 81
faks (42) 632 30 24
www.wyd-literatura.com.pl

Kto nie pamięta historii,
skazany jest na jej ponowne przeżycie –
George Santayana

Mojej Mamie,
która wcale nie wie, że była dzielna.

Na placu Krasińskich w Warszawie turystów wita niezwykle pomnik. Przedstawia kilka osób stojących przed wjazdem do kanalizacji. Jedna z tych osób – mężczyzna z karabinem, jest już do pasa schowany w kanale.

Mój ośmioletni kolega Olek, który przyjechał do Warszawy na wycieczkę, uważnie przypatrywał się stalowym postaciom, po czym zapytał:

– Co oni robią? O co tu właściwie chodzi?

Spróbowałem w kilku zdaniach wytłumaczyć Olkowi, czym było powstanie warszawskie, kim byli powstańcy, dlaczego uciekali kanałami ze Starego Miasta. Mówiłem, że w czasie drugiej wojny światowej, w sierpniu 1944 roku, mieszkańcy Warszawy chwycili za broń, by wyzwolić siebie i swoje miasto. Niestety, Niemcy mieli ogromną przewagę i wypierali powstańców z kolejnych dzielnic. Żołnierze powstania zostali otoczeni na Starym Mieście. Aby nie wpaść w ręce wroga, uciekali jedyną możliwą drogą – kanałami. Razem z nimi wydostało się w ten sposób także wielu cywilów.

A wtedy Olek zadał pytanie, które całkowicie mnie zaskoczyło:

– A ile ci ludzie mieli żyć?

Olkowi, który jest bardzo mądrym chłopcem, w ogóle nie przyszło do głowy, że historia, którą mu opowiadałem, wydarzyła się naprawdę. Słuchając mojej opowieści, pomyślał, że streszczam scenariusz gry komputerowej. Niestety, to nie była gra. To się rzeczywiście działo. Ludzie w powstaniu naprawdę walczyli i ginęli.

Człowiek zawsze miał i ma tylko jedno życie. W historii zdarzają się lata, kiedy stracić życie, zdrowie i najbliższych jest bardzo łatwo. Najłatwiej w czasie wojny.

Książka, którą trzymasz w ręku, opowiada właśnie o wojnie, o Warszawie, o ludziach, którzy w tamtych czasach żyli i walczyli.

Historia, którą przeczytasz, wydarzyła się naprawdę. Opowiadała mi ją moja mama, która uczestniczyła w tych zdarzeniach razem ze swoją rodziną, przyjaciółmi, koleżankami i sąsiadami.

Wojna, poza wieloma tragicznymi zdarzeniami, składała się także ze zwykłych, codziennych spraw. Dni były wypełnione zajęciami, jakie znacie ze swojego życia. Dzieci chodziły do szkoły, bawiły się, żartowały. W tamtych czasach – tak jak dzisiaj – byli ludzie poważni i smutni, byli także weseli i patrzący na świat z nadzieją i optymizmem. A dzieci, jak to dzieci – wiele z nich lubiło się śmiać, a niektórym czasami wpadały do głowy zwariowane pomysły...

Życzę wam ciekawej lektury, ale przede wszystkim tego, by wasz los nigdy nawet nie otarł się o wojnę.

Autor



Mam na imię Krysia. Po wakacjach idę już do czwartej klasy. Jutro jest pierwszy września 1939 roku – piątek, więc lekcje zaczynają się dopiero czwartego – w poniedziałek.

Moja siostra Zosia już śpi. Mama i babcia też. Muszka, nasza suczka, także zasnęła. Tylko ja nie mogę. Jest tak gorąco. Przewracam się z boku na bok i myślę o szkole. No dobrze – przyznam się wam – nie bardzo chce mi się do niej wracać. Znowu trzeba będzie się uczyć. Wiadomo, że wakacje są o wiele przyjemniejsze. Ale z drugiej strony cieszę się, że zobaczę moje kochane koleżanki. Ciekawe, jak im minęły wakacje? Marysia i Jadzia Popławskie mieszkają w tym samym domu. To znaczy w tym, w którym ja mieszkam. Pójdę do nich zaraz, jak tylko wrócimy z Choszczówki. Ach, jeszcze trzy dni...

Nagle Muszka podniosła głowę i krótko szczebknęła.
W ten sposób, od szczebknięcia naszej ukochanej suczki, zaczęła się dla mnie druga wojna światowa.

* * *

Ktoś delikatnie zastukał w szybę, po czym męski głos pod naszym oknem zawołał:

– Pani majorowo, telefon na poczcie!

Mama usiadła w łóżku i spojrzała na zegarek.

– Dwunasta! Boże, co się stało? Telefon o tej porze?!

Zosia i babcia też się obudziły.

– To na pewno od Miecia – powiedziała babcia. – Oby tylko nic złego mu się nie przytrafiło...

Miecio to mój tata. Wtedy, we wrześniu 1939 roku, był majorem Wojska Polskiego. Został w Warszawie, bo kiedy my „wczasowałyśmy” w Choszczówce, on, biedaczek, musiał ciężko pracować.

W roku 1939 w niewielu gospodarstwach domowych były aparaty telefoniczne. Żeby dojść do poczty, gdzie znajdował się telefon, trzeba było przejść przez lasek. Babcia postanowiła pójść z mamą.

Wróciły po godzinie. Bardzo zdenerwowane.

– Jutro... a właściwie dzisiaj, bardzo wcześnie wyjeżdżamy – powiedziała mama. – Śpijcie, dziewczynki.

– Ale co się stało? – zapytała Zosia.

Moja siostra niedawno skończyła szesnaście lat. Uważała się za osobę zupełnie dorosłą i bardzo nie lubiła, gdy rodzice traktowali ją jak dziecko.

Mama przez chwilę zastanawiała się, co powiedzieć.

– Nic takiego. Tata prosił, żebyśmy wcześniej wróciły.

– Nie mógł zadzwonić jutro? – nie ustępowała Zosia.

Mama drżącą ręką wyjęła z paczki papierosa.

– Nie pal w pokoju, Melu – zaprotestowała babcia.

Moja mama miała na imię Amelia, ale wszyscy mówili na nią zdrobniale „Mela”.

– Nie, oczywiście, że nie. Wyjdę na taras – westchnęła mama i dodała: – Tatuś prosił, żebyśmy pojechały pierwszym pociągiem.

Ja też postanowiłam zabrać głos:

– Przecież miałyśmy wrócić dopiero w niedzielę!

Ten pośpiech wcale mi się nie podobał.

– Pierwszym pociągiem?! – skrzywiła się Zosia. – Po co mamy tak wcześnie wstawać?! Mamo, coś przed nami ukrywasz.

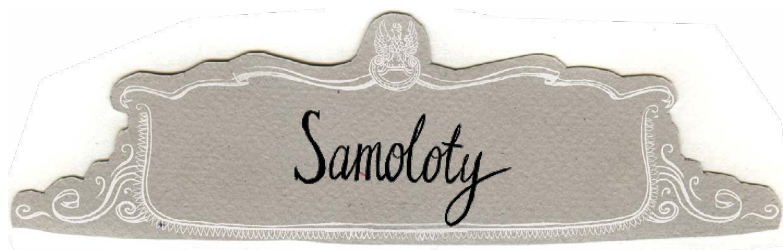
– Dziewczynki, dość rozmów. Tata uważa, że lepiej będzie, jeśli jak najszybciej wrócimy do domu. Podobno sytuacja przy granicy jest niebezpieczna.

– Co to znaczy? – zapytałam.

– To znaczy, że nie masz się czym martwić. – Babcia uśmiechnęła się i pogłaskała mnie po głowie. – To są sprawy dorosłych.

– Ja wiem – powiedziała zdecydowanie Zosia. – Będzie wojna!

Jeszcze wtedy nie wiedziałam, co to słowo znaczy. Zresztą babcia i mama też nie mogły wiedzieć. Przecież t a k i e j wojny nigdy dotąd nie było. Takiej, jak ta – druga wojna światowa.



Dawniej na wakacje woziło się mnóstwo rzeczy. Nas do Choszczówki zawiózł samochód. Czego tam nie zabrałyśmy! Kołdry, poduszki, pościel, ogromną balię do mycia, garnki, talerze, oczywiście górę ubrań i książki. Można by długo wymieniać. Moja mama wzięła nawet swoją ulubioną popielniczkę, na spodzie której namalowana była wieża Eiffla. To była pamiątka z podróży poślubnej rodziców do Paryża.

A teraz miałyśmy wracać pociągiem.

– Panie Leopoldzie, czy możemy zostawić swoje rzeczy? – zapytała naszego gospodarza mama. – Weźmiemy tylko trochę ubrań. Kiedy sytuacja się wyjaśni, ktoś przyjedzie po resztę.

– Bardzo proszę, pani majorowo. Będą tu na pani czekały. Nic im się nie stanie – odpowiedział pan Leopold.

Nasz gospodarz był wyjątkowo miłym i wesołym człowiekiem. Bardzo często się uśmiechał. Jednak tego ranka na jego twarzy ani razu nie zagościł uśmiech.

Pewnie wojna tak go wytrąciła z równowagi – pomyślałam.

Ja też czułam niemiłe łaskotanie w brzuchu. Jakbym nie przygotowała się do lekcji, a nauczycielka właśnie wezwała mnie do tablicy.

Przed szóstą wyruszyliśmy na stację.

Pociąg był pełen zdenerwowanych ludzi. „Wojna, wojna” – pojawiało się we wszystkich rozmowach.

Niektórzy pasażerowie słyszeli w radiu, że Niemcy już napadli na Polskę. Oczywiście w tamtych czasach nie było telewizji, która informowała na bieżąco o najważniejszych wydarzeniach. Nawet radio nie było tak popularne jak dziś. To chyba jasne, że nie istniały też komputery i internet. Nasz gospodarz, pan Leopold, nie miał radioodbiornika.

– Napadli?! Niemożliwe! Bez wypowiedzenia wojny?! Przecież to cywilizowany naród – kręciła głową pani w okularach, która siedziała niedaleko nas.

– Już nasze orły im pokażą! – dudnił męski głos w tyle wagonu. – Będą Hitlerzy* zwiewały świńskim truchtem, aż portki pogubią.

* Adolf Hitler (1889–1945) – w latach 1933–1945 przywódca Niemiec.

Jego słowa wzbudziły ogólną wesołość.

Mama pochyliła się do mnie i szepnęła:

– Nie martw się, Krysiu, od granicy do Warszawy jest bardzo daleko. Na pewno wojna do nas w ogóle nie dotrze. Mamy silną armię, która będzie nas broniła.

Dobrze, że mama to powiedziała. Niepokój, który od rana łaskotał mnie w brzuchu, stał się znacznie mniejszy. Jakby ktoś przykrył go grubym swetrem.

– Wiem, tata też nas będzie bronił – spróbowałam się uśmiechnąć.

Postanowiłam nie myśleć o wojnie. Taka piękna pogoda! Prawdziwie letni dzień. Bezchmurne niebo było niebieściutkie jak niezapominajki. Patrzyłam przez okno i wtedy je zauważyłam. Samoloty! Leciały wysoko – malutkie jak ptaki. Srebrzyste skrzydła pobłyskiwały w słońcu.

– Samoloty, samoloty!

Dzieci w wagonie zaczęły do nich machać. Ja też pomachałam.

Gdzieś w oddali rozległ się przytłumiony grzmot. Pociąg zaczął gwałtownie hamować i nagle stanął w polu. Muszka, w której żyłach płynęła krew psów myśliwskich, nie bała się huków. Zaciekawiona wyjrzała przez okno i zaczęła szczeleć.

– Wszyscy wysiadać, wszyscy wysiadać! – Konduktorzy biegali pod oknami, niespokojnie patrząc w górę.

Przy wyjściu zrobił się tłok. Mały, potargany chłopczyk zaczął strasznie płakać.

– Prędko, chować się! Pod pociąg! Pod wagony! – krzyczał konduktor.

Myślałam, że żartuje. Mamy wchodzić pod pociąg?! Po co?!

– To Niemcy. Bombardują! – krzyknęła mama i pociągnęła mnie za rękę. Przykucnęliśmy pod wagonem. Zosia i babcia przytuliły się do nas. Moja siostra wzięła Muszkę na ręce. Przesiedziałyśmy tak kilka minut. Na szczęście samoloty poleciały gdzieś dalej i już nie wróciły.

Kiedy wchodziłam z powrotem do wagonu, nogi miałam miękkie, jakby były ulepione z plasteliny.



Przyjechałyśmy na Dworzec Gdański. To bardzo blisko naszego domu.

Na peronie czekał mój ukochany chrzestny – Ciorcio. Naprawdę na imię miał Antoni. Był przyjacielem taty

i też kiedyś pracował w wojsku, ale kilka lat temu przeszedł na emeryturę.

– Mietek nie mógł po was wyjść, więc przysłał mnie – witał się pospiesznie. – Dzień dobry, królewno! – Jak zawsze, dla żartów, pocałował mnie w rękę i jak zawsze podarował mi prezent. Tym razem była to tabliczka mlecznej czekolady z orzechami – moja ulubiona.

Ciorcio za każdym razem, kiedy do nas przychodził, coś mi przynosił. A to książkę, a to zabawkę lub coś słodkiego. Zawsze był dla mnie taki dobry. Jego ukochana córeczka Ania przed wielu laty umarła na szkarlatynę*. Może przypominałam mu Anię i dlatego tak mnie lubił. To ja pierwsza nazwałam go „Ciorciem”. Byłam wtedy jeszcze bardzo mała i nie umiałam dobrze mówić. Ale to przezwisko tak się wszystkim spodobało, że nikt w naszej rodzinie już nie zwracał się do niego po imieniu.

– Ciorciu, jak wygląda sytuacja? – zapytała mama.

– Wojna – odpowiedział krótko i chwycił nasze walizki. Ruszyliśmy szybkim krokiem.

– Oj, poczekajcie, nie tak prędko! – poprosiła babcia. – Bo się zasapię.

– Ich lotnictwo nas zaskoczyło. Samoloty zbombardowały zachodnie dzielnice Warszawy. Podobno jest wielu rannych i zabitych... – Spojrzał na mnie i umilkł.

* Szkarlatyna – inaczej płonica – ostra choroba zakaźna, głównie dziecięca, obecnie leczona antybiotykami.

– Bomby na domy mieszkalne? – nie mogła uwierzyć babcia. – Ależ to barbarzyństwo! Kochany Ciorciu, może oni się pomylili...

– W takich sprawach Niemcy się nie mylą. Raczej wykonali z precyzją bandycki plan – szepnął Ciorcio. Rysy jego twarzy zaostrzyły się, a oczy błysnęły zimnym blaskiem. Jeszcze nigdy go tak poważnego nie widziałam.

– Ale co mamy teraz robić? Mieszkamy tak blisko dworca. – Mama stanęła niezdecydowana. – Pewnie właśnie dworce będą bombardować.

– Mietek mówił, żebyście poszły do domu. Przyjedzie najszybciej, jak będzie mógł. Gdyby ogłoszono nalot, zejdziecie do piwnicy.

– Ojej, co tu się stało?! – krzyknęłam na widok wykopów, które biegły zygzakiem przez chodnik.

– To rowy przeciwlotnicze – wyjaśnił Ciorcio. – Warszawiacy kopią je już od kilku dni.

– Ale po co?! – krzyknęła oburzona Zosia. – Cały chodnik zniszczony!

– Jeśli zaczną się bombardowanie, ludzie będą mogli ukryć się w rowach – powiedział Ciorcio.

– Święci pańscy! – jęknęła babcia. – Do czego to doszło! Chodźmy prędko do domu. Ja przecież nie dam rady wejść do takiego dołu! A co dopiero z niego wyjść?!

Szybko ruszyliśmy. Przy furtce przywitał nas dozorca, pan Kureczko.

– Nareszcie panie wracają – ucieszył się na nasz widok. – Witam pana majora – ukłonił się Ciorciowi.